

№ 39 Rok XIX.

Dnia 12 (24) Września 1898 r.



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



WILHELMINA, KRÓLOWA HOLANDYI.



## Królowa Holenderska Wilhelmina.

Po raz trzeci w tym wieku wstępuje na tron młodziutka dziewczeczka. Pierwszą była w r. 1837 siedemnastoletnia królowa Wiktorya angielska, drugą w r. 1840 królowa Izabella II-ga. Hiszpanka, w tym roku nakoniec w dniu 31 sierpnia skończyła 18 lat królowa Holandii, Wilhelmina, i objęła nad tym pięknym i bogatym krajem samoistne rządy, które od od śmierci króla Wilhelma Orańskiego, zaszłej w r. 1890, sprawowała w jej imieniu matka, jako regentka.

Państwo Niderlandzkie, choć w Europie niewiele zawiera ziemi, a i tę bronić musi od zalewów morza Północnego, posiada jednak bardzo rozległe i bogate kolonie. Pierwsze miejsce w ich rządzie zajmuje archipelag Sundzki, leżący między Azją i Australią, poniżej wysp Filipińskich: Borneo, największa wyspa na świecie, Sumatra, Jawa i dziwacznych kształtów Celebes. Oprócz tych olbrzymich wysp podzwrotnikowych posiada jeszcze Holandia część Nowej Gwinei, kilka małych wysp Antylskich i wielką przestrzeń w Ameryce południowej, zwaną Guyaną holenderską. Słowem, młoda królowa ma około 35 milionów poddanych, których większość, dodać trzeba, stanowią dzicy.

Kilku książąt miejscowych z wysp Sundzkich, przybyło na uroczystość koronacyjną, aby oddać hołd swej zwierzchniczej. Ze zdziwieniem podobno przyglądali się jej młodziutkiej postaci, ale hołd swój i zachwyt, wyrazili licznymi i nad kosztownymi подарunkami.

Uroczystość objęcia rządów odbyła się bardzo wspaniale w Amsterdamie. Najważniejsze jej chwile stanowiły wjazd do miasta, w złotej karecie, ofiarowanej przez naród i złożenie przysięgi na konstytucję, po której młodziutka królowa przybrana w białą suknię i płaszcz purpurowy, wygłosiła do przedstawicieli narodu przemowę. Pomimo wzruszenia mowa została wypowiedzianą bardzo wdzięcznie i udatnie.

A teraz musimy powiedzieć słów kilka o samej królowej, która tak niedawno jeszcze była rówieśniczką naszych czytelniczek.

Główną jej kierowniczką była ukochana mateczka, osoba wielkiego serca i umysłu. Wychowaniem religijnem kierował znakomity kaznodzieja pastor Flüter, a naukowem — marszałek dworu Salvedra de Grave, oprócz tego otaczał ją rój nauczycielek różnej narodowości, gdyż władczyni Holendrów musiała się uczyć bardzo wiele, daleko więcej niż większość jej rówieśniczek, i czasu w dzieciństwie nie marnowała.

Od pierwszych lat życia, młoda królowa odznaczała się niewysłowioną dobrocią serca i była niewyczerpaną w świadczaniu dobrodziejstw, zarazem jednak bywała prędką i upartą.

Ofiarą jej gniewów padała najczęściej surowa i sztywna nauczycielka angielska, miss Winter. Doprowadzała ją do rozpacz, zwłaszcza przy lekcjach geografii, bo robiąc dla ćwiczenia mapki, przedstawiała zawsze Holandję w rozmiarach olbrzymich, Anglię zaś zmniejszała znacznie. Gdy zaś oburzona miss Winter głosiła jej niezrównaną wielkość Albionu, ona przypominała, że chociaż Anglia zabrała jej krajowi Kaplandję, to jest południową Afrykę, jednak Holender Van Tromp spalił raz port londyński.

Pewnego dnia pragnęła królowa powiedzieć dzień dobry swojej mateczce. Zatrzymano ją w pierwszej sali, gdyż matka była zajęta z dygnitarzami państwa. Napróżno pukała coraz niecierpliwiej do zamkniętych drzwi. Regentka pyta wreszcie, kto tam przeszkadza.

— Królowa — brzmi odpowiedź.

— Nie mam czasu — odpowiada głos matki.

Wówczas biedaczka woła raz jeszcze:

— To Wilhelmina pragnie mateczkę uścisnąć!

Wtedy otwały się drzwi i matka pochwyciła dziewczkę w objęcia.

Królowa Wilhelmina żywi gorące zamiłowanie do sztuk pięknych, najmniej lubi muzykę, bo nie posiada ucha muzycznego. Jest więc wszechstronnie wykształconą, a oprócz tego doskonale jeździ konno i łyżwuje, podobno nawet w parku Loo próbowała z powodzeniem bicyklu.

Niedługo czeka ją nowa uroczystość: zaręczyny z jednym z książąt niemieckich.



## BEZ PRZEWODNIKA.

KARTKA Z ZAKOPANEGO.

I.

— Wierzysz, że nam się nie śni?

Szczupły i blady chłopiec w szkolnej bluzce podniósł na brata zdziwione spojrzenie wielkich, niebieskich oczu.

Starszy chłopiec czarnooki, śniady i opalony, zniecierpliwił się widać brakiem odpowiedzi.

— Cóż, milczysz? — rzekł porywco. — Czternaście lat skończyłeś, a zdaje ci się chyba, że nie masz jeszcze siedmiu, i żeś powinien być niemy, jak ryba. Teraz nie wiem doprawdy, skąd ci się wzięła odwaga wypowiedzenia stryjowi, że zgadzasz się na jego projekt, a raczej, że masz ochotę zobaczenia morza po sześciokrotnem spędzeniu lata w Zakopanem. Takie natury, jak twoja, na nic zdobyć się nie potrafią, nawet na prostą szczerzość.

Blada twarz młodego chłopca pokryła się lekkim rumieńcem, lecz w jasnych jego oczach nie było gniewu ni obrazy.

— Nie gniewaj się, Janku — zaczął trochę nieśmiałym głosem — ale widząc, że brat wygląda przez okno wagonu, nie dokończył nawet zdania.

Po chwili Janek usiadł znów na ławce, spojrzął na brata niezwykle łagodnie, jak gdyby pragnął zatrzeć poprzednie wrażenie i zapytał dość miękko.

— Głodny jesteś?

— Pić mi się chce — odparł Tadek — ale zaczekam do Chabówki.

— Do Chabówki! Dobry sobie! Jakbyś nie wiedział o tem, że do Chabówki jeszcze z półtorej godziny. Ale ty byś się wyrzekł jedzenia i picia, byle nie mieć kłopotu. Powiadam ci, Tadek, co ty na świecie zrobisz? Dobrze, póki jesteśmy razem i wiesz, że za ciebie myślą brat, ojciec, siostra, no, ale jesteś mężczyzną, masz być w przyszłości opiekunem swojej rodziny i co ty pocznie-z wtedy?

Tadek zarumienił się znowu po same włosy i spoglądał na brata łagodnym, proszącym wzrokiem, ale na odpowiedź nie zdobył się żadną. Janek ruszył też ramionami i sięgnął po koszyczek, umieszczony na półce.

— Co to? — rzekł, wydobywając z niego dość dużą butelkę.

— To woda z czerwonem winem — cicho odpowiedział uczeń.

— Czemuż się nie napijesz?

— E nie... tam już niewiele... ty możesz mieć pragnienie...

— Co? — zawołał Janek z oburzeniem — będziesz się męczył pragnieniem i kwasiał tę trochę wody do samego Zakopanego, bo — ja mogę jej potrzebować! Czy wiesz, jak się nazywa takie postępowanie?

— Pewnie niedołęstwo — rzekł Tadek z łagodnym uśmiechem.

Janek zmieszał się trochę odpowiedzią brata, ale spostrzegł się prędko.



# W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

— A widzisz — rzekł — sam uznajesz; czy myślisz, że mnie przyjemnie tak cię ciągle strofować i nazywać po imieniu twoje wady? Ale to dla dobra twego, święty straciłby resztę cierpliwości z twoją biernością. Tak! nie! chcę! nie chcę! krzycz, pchaj się, żądaj — a ty wiecznie milczysz, myślisz i ze wszystkim się zgadzasz — ja tego znieść nie mogę. No, pij.

— Dziękuję.

— Nie chcesz?

— N-ie, już nie chcę.

— To wypiję; na widok tego nektaru sucho mi się w gardle zrobiło. Za twoją — energię.

Tadek się uśmiechnął.

— Przynajmniej na ten tydzień zdobędziesz się na jakąś wolę — prawil dalej Janek, ogryzając udko kurczęcia — pamiętaj, że od naszego sprytu i energii zależy powodzenie całej sprawy. Znasz stryja: nie wrócimy na czas, to sam pojedzie, dnia jednego dłużej nie zaczeka. A choć to niby nic odnaleś Zoskę w Zakopanem i zabrać ją razem z ciocią, ale nie mamy jej adresu, a te panie wcale nas się nie spodziewają. Mogą być na jakiej wycieczce, może trzeba je będzie gonić, a czas płynie. W Zakopanem znamy już wszystko, a morza nikt z nas nie widział i pewno nie prędko zdarzy nam się taka sposobność, więc nie chciałbym po tyłu nadziejach zostać na koszu, z niczem!

— Trzeba się będzie zaraz dowiedzieć o nie w klimatyce, muszą tam być zameldowane i znajdziemy je w godzinę po przybyciu na miejsce.

Właśnie, podług twojej teorii! Czy nie wiesz, że przyjedziemy koło siódmej wieczorem i klimatyka będzie już zamknięta? Ja myślę, że tylko przypadkiem tego samego dnia spotkać możemy je na Krupówkach, a na dobre trzeba zacząć poszukiwania nazajutrz od rana. Wyobrażam sobie zadziwienie cioci, bo nie spodziewa się nas wcześniej jak za dwa tygodnie. Nie mogła naturalnie przeczuć projektu stryja, zgody ojca, misji naszej i zamierzonego porwania.

— Chabówka! — szepnął Tadek z rozpromienioną twarzą.

Janek zerwał się z miejsca.

— Chwała Bogu. A to prędko! Zamknij koszyk, zwin paski, te zapasy chyba zostawimy? Co zrobić z tą butelką? A walizka? gdzie walizka? aha; jest wszystko? Hej, jest tam kto? Po rzeczy! — wołał, wychylając się z okna.

— A podajcie mi te węzłki, to je wnet na wózek włożę. Pięknie pojedziemy, grzecznie, podług taksy, wesoło.

Tak zachęcał młody góral, stojąc przed oknem wagonu, a Janek też bez namysłu zaczął mu podawać tłomoczki.

— Podług taksy pojedziesz? — spytał tylko wyraźnie.

— Podług taksy, toć mówię, a grzecznie, a wesoło, pierwsi staniemy w Zakopanem.

— A to co, nie wiesz, że wam tu nie wolno? — dał się słyszeć surowy głos jakiegoś urzędnika, zwrócony do górala, który najspokojniej odbierał przez okno pakunki naszych znajomych.

— Goście mię zawołali, zgodzony jestem, umówiony — tłomaczył się sprytny chłopak, podając Jankowi książeczkę, w którą zaopatrzony jest każdy z miejscowych właścicieli wózków.

— Tak jest — potwierdził Janek — umówiłem tego człowieka. To już wszystko. Idźcież sobie, a my przyjdziemy zaraz, tylko zjemy obiad.

— Chodź — zwrócił się do brata — widzisz, co to znaczy energia: góral zabrał rzeczy wprost z wagonu i nie potrzebujemy płacić za przenoszenie osobno.

— Zeby tylko miał dobrego konia — zwrócił uwagę Tadzio.

— Boisz się, że przez litość będziesz szedł piechotą? Nie bój się, dobrze z oczu patrzy chłopakowi, jestem pewny, że ma konika aż miodo.

C. Nicwiadomska.

(d. c. n.)

W pięć minut później profesor i jego towarzysze pływali niby delfiny w około „Latającej Ryby”, używając z rozkoszą kąpieli w chłodnej, czystej wodzie morskiej. Gdy wrócili na statek zastali już przygotowane przez Jerzego śniadanie, składające się z czekolady i biszkoptów. Zanim zdążyli je spożyć i wypalić cygara, woda zalała już pokład, i zaległ zmrok, zapowiedziany przez profesora. Karliński głosował za spuszczeniem się natychmiastowem na dno morza. Weszli tedy wszyscy do dolnego przedziału kajuty, drzwi szczelnie zamknęli za sobą, otworzyli krany rur wodnych i statek, opadając na dół ruchem niedostrzegalnym, w parę minut później znalazł się na żwirowatym dnie kanału.

— Jest już godzina ósma — rzekł profesor, gdy kotwica zarzuconą została — czujemy się trochę znużeni a kąpiel i lekki posiłek usposobiły nas do snu. Możemy teraz udać się do naszych sypialni i użyć tam wycieczki do 2 ej południu. Jerzy, przygotowawszy gorące śniadanie, obudzi nas o tej porze, a przed obiadem będziemy mieli jeszcze dość czasu na wypróbowanie naszych przyrządów nurkowych. Spijcie panowie spokojnie; zapasu powietrza starczy nam na 24 godzin.

Propozycja profesora chętnie przyjętą pozostała; w pół godziny później czterej podróżnicy spali snem tak spokojnym, jakby od dzieciństwa nawykli kłaść się do snu na dnie oceanu.

## V.

### Wycieczka podmorska.

O naznaczonej godzinie Jerzy, który ufał ślepo swemu panu i w najniezwyklejszych nawet okolicznościach, nie okazywał nigdy zdumienia, obudził czterech podróżników i zastał przed nimi śniadanie z tą samą zimną krwią, z jaką pełnił służbę w pałacu baroneta na stałym lądzie. Po posiłku profesor poprowadził towarzyszy do sali nurków, gdzie włożyli na siebie opisane poprzednio ubranie i pancerz. Professor pomagał drugim, więc ubrał się ostatni, a gdy wszyscy byli gotowi, zesłi do dolnego przedziału, drzwi szczelnie za sobą zamknawszy. Pokój ten, oświetlony lampą elektryczną, w kilka minut po otwarciu przez Karlińskiego kranów wodnych, został zalany.

— Słuchajcie panowie — rzekł wówczas profesor — gdyby teraz lub w przyszłości który z was przy stopniowem podnoszeniu się wody, doznawał zawrotu głowy, osłabienia, nerwowego niepokoju i t. p. fizycznych przypadłości, niech dla zaradzenia temu otworzy te ote krany, wówczas napłynie tu ściśnione powietrze, szybko wyprze wodę, a po zamknięciu obu kranów, powróci na górę do sali nurków dla zmienienia ubrania. Wiedząc już jak macie w danyu razie postąpić, pytam, czy jesteście gotowi spuścić się na dno morza?

Lubo pokój przez ten czas wypełnił się wodą i podróżni ciśnieniem jej znosić musieli, pancerz nurków okazał się zupełnie odpowiednim, gdyż odpierał nacisk wody i nie krępował w niczem ruchów, nawet dźwięk głosu dochodził ich uszu wyraźnie.

— Więc słyszycie mowę moją? — zagadnął Karliński, i otrzymawszy od towarzyszy potwierdzającą odpowiedź — dodał — cieszy mnie to, z uwagi, że nam będzie potrzeba porozumiewać się wzajemnie pod wodą; w tym właśnie celu umieściłem w szyszakach mikrofony.



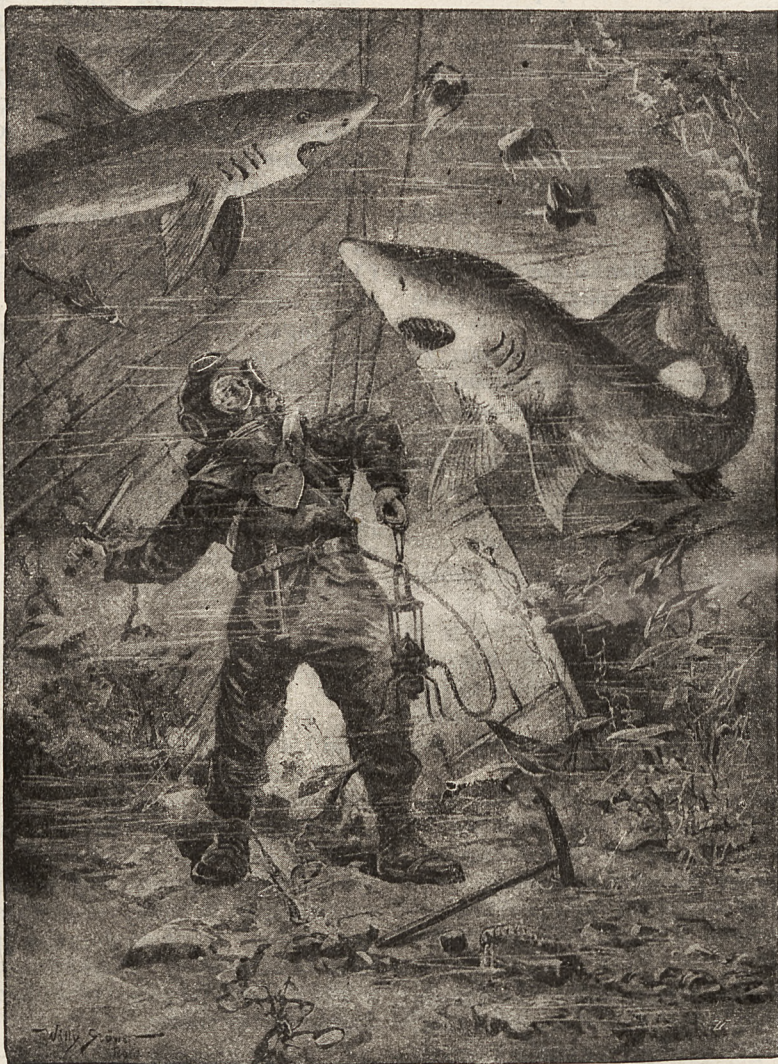
To rzekłszy, otworzył przeciwne drzwiczki w głębi i czarna przepaść ukazała się ich oczom.

— Niech każdy zapali obie lampki swoje, niech stąpa ostrożnie po nieznanym gruncie — przestrzegał profesor.

Sam poszedł przodem; postać jego w kregach światła rzucanego przez lampki na toń wodną, przybierała olbrzymie kształty. Drudzy szli w ślad za nim. Spuściwszy się z okretu zawrócili na lewo i niebawem uczuli pod nogami twarde,

szczych nurków. Gdybyśmy niczego więcej nad to nie dowiedzieli, byłby to już nie mały tryumf. Teraz jednak spuścimy się w największe zagłębienie doliny podwodnej i mam nadzieję, że tam ujrzymy ciekawe rzeczy. Zwrócimy się teraz na zachód; idąc po tej pochyłości, powinniśmy niebawem dojść do celu.

Trzej towarzysze udali się za profesorem, nie doświadczając zbyt wielkiej trudności w brodzeniu po wodzie i wkrótce stanęli nad brzegiem rozpadliny. Zabim w głąb jej zapuścili



WALKA NA DNIIE MORZA. (Do „Latającej Ryby”).

żwirowaty grunt. Dla próby zgasili na chwilę lampy swoje. Woda tak była przezroczystą, że przez zielonawe jej fale rozróżniali wyraźnie kadłub zostawionej za sobą „Latającej Ryby”, w półmroku odbijało jaskrawie światło elektryczne dwóch lamp, zapalonych na przodzie i w tyle okretu.

— To są nasze drogowskazy — rzekł przezorny profesor, musimy nie tracić z oczu światła tych lamp, inaczej moglibyśmy nie znaleźć nigdy powrotnej drogi do statku. W obecnej chwili znajdujemy się na 540 stóp pod powierzchnią morza, to jest 336 stóp głębiej od najwytrzymal-

się, rzucili wzrokiem za siebie. Nie dostrzegali w ciemności okretu, ale lampy elektryczne świeciły jasno, niby latarnie morskie. Czując się z tej strony bezpieczni, podróżnicy nasi śmiało puścili się naprzód i po chwili znaleźli się na samem dnie tej wklęsłości morskiej. Ujrzeni tam stosy różnego rodzaju szczątków: kawałki butelek, desek, żelastwa, zbitych w jedną masę naniesionym przez długie lata mulem, części rozbitych okretów i t. p.

— Przewidywałem to z góry — zawołał profesor, wskazując na stosy różnorodnych szczątków — wszędzie na dnie



w zagłębieniach oceanów, natrafiać będziemy na takie zwaliska, naniesione przez prądy morskie. Obejrzymy dokoła to sztuczne wzgórze, bo nie wątpię, że ujrzymy tam coś niezwykłego.

Nie zawiodły przepowiednie profesora; gdy podróżnicy przystanęli dla przypatrzenia się odłamowi masztu okrętowego, porośniętego trawą, niebawem z pośród zarośli wysunęła się niby głowa węża z błyszczącymi oczami a po chwili, osobliwszych kształtów i olbrzymich rozmiarów węgorz morski wypełznął z kryjówki, śnać zwabiony światłem lamp elektrycznych.

Słuszne też było przypuszczenie Mildmaya co do rozmiarów potworów morskich; zanim podróżnicy mogli zdać sobie sprawę z położenia rzeczy, ze trzydzieści węgorzy opasało ich, okręcając członki pierścieniami węzowemi, usiłując daremnie przebić zębami ogniwa metalowych pancerzy. Jakkolwiek jednak napastnicze zwierzęta nacierały uparcie, dla ludzi walka rychło pomyślny wzięła obrót; zręcznym wysiłkiem oswobodziwszy ręce, jednym uderzeniem sztyletu zadawali śmierć rybom, które mimo to w zaciętości swojej nie ustępowały i dopiero z powaleniem ostatniej, bój został zakończony. Węgorze były ogromnych rozmiarów; większe



KOŚCIÓŁ W ASTRACHANIU.

— Co za szkaradny potwór! — zawołał pułkownik.  
— Baczość! chce się na nas rzucić — dodał Midway.  
— Do licha! tych potworów coraz więcej wylazi z ukrycia — krzyknął baronet.  
— Biercie prędko za sztylety — krzyknął profesor — nie bójcie się jednak; od napaści potrafimy się obronić, a żeby napastników nie zdołają przebić łuski naszych pancerzy.

Słowa uspokojenia, świadczące o przytomności umysłu profesora, w porę były wypowiedziane, towarzysze jego bowiem, jakkolwiek wypróbowanej odwagi ludzie, nie mogli oswoić się jeszcze z obcym dla nich żywiołem, a widok żarłocznych ryb z otwartą paszczą, o podwójnym rzędzie ostrych zębów, najśmielszych mógł natchnąć obawą.

dochodziły ośmnaście stóp długości, a nie było mniejszych nad stóp dziesięć.

Dalsza wycieczka podmorska odbyła się bez nadzwyczajnych przygód; jasno świecące lampy ułatwiły podróżnikom powrót do okrętu, gdzie przybyli znużeni wysiłkiem, zabiwszy jeszcze jednego rekina.

Doznane wrażenia służyły za przedmiot rozmowy podczas obiadu, w końcu profesor dodał:

— Dwom jeszcze próbom musimy poddać naszą „Rybę Latającą.” próbie szybkości pływania pod wodą i na powierzchni morza. Doświadczeń tych zaraz dokonacie wypadu, jeśli zgodzisz się na to sir Reginaldzie?



## STO LAT TEMU NAD NILEM.

(Dalszy ciąg).

Naczelną wódz podzielił armię na 5 dywizji, z których każda, podobnie jak pod Chebreis, składała czworobok. Podczas gdy z tyłu stały kompanie grenadyerów, gotowe wzmocnić słabe punkta.

Jedną tylko obawę miał wódz naczelną, a mianowicie, by żołnierze jego przywykli w kompanii włoskiej do szturmowego ataku, nie przykryli sobie tej niernohomości, jaka konieczną była w przyjętej taktyce. Więc starał się przysposobić go do tego.

Na dane hasło generał Desaix, zajmujący prawe skrzydło tej ruchomej twierdzy, wystąpił naprzód, za nim poszedł Regner, potem generał Dugua gdzie znajdował się Bonaparte.

Wprawdzie Murad-Bej nie posiadał nauki wojennej, lecz obdarzony wielką bystrością odgadł od razu zamiar przeciwnika. Zostawił więc 2 tysiące Mameluków dla wsparcia Embabeh a całą masą ośmiotysięczną, galopującej jazdy, uderzył na Desaix'a.

Natarcie było gwałtowne, lecz żołnierz francuski, zimny teraz jak przedtem ognisty, dopuścił nieprzyjaciela bardzo blisko, i przyjął go straszny ogniem karabinowym i kartaczami.

Poniosłszy wielkie straty, jazda rzuciła się od czworoboków Desaix a na Reniera, ale i tu przywitana takimże ogniem, zamysłała wrócić na stanowisko, gdy znalazła za sobą dywizję Dugua.

Więc w strasznym popłochu uciekać zaczęła, wnosząc przerażenia do obozu.

Postrzegłszy to Bonaparte, wysłał generałów Bon i Menou do ataku na wioskę Embabeh, lecz Mamelucy znów uderzyli na nich.

Walka stawała się coraz więcej krwawą. Wielu z nieprzyjaciół legło trupem, wielu zepchniętych zostało do Nilu. Embabeh zdobyto i Arabowie, czekający pod piramidami na zwycięstwo Mameluków i pewny rabunek, puścili się w głąb pustyni.

Murad-Bej ze szczątkami jazdy cofnął się ku górnemu Egiptowi, a Ibrahim-Bej z drugiego brzegu udał się do Belbejs, by następnie w Syrii szukać schronienia.

Uciekający wszakże Mamelucy podpalili dżermy t j statki, wiozące ich bogactwa, pozbawiając zwycięskie wojsko tej świetnej zdobyczy.

Bonaparte założył główną kwaterę w Gisech, na brzegach Nilu, gdzie było przepyszne mieszkanie Murad Beja.

Tutaj, jako też i w Embabeh, znaleziono zapasy żywności i żołnierze francuscy mogli sobie wynagrodzić długi niedostatek. Liczne też łupy zyskali na polu bitwy w kosztownych szalach wschodnich, ślicznej broni, niezrównanych koniach arabskich i kieszach pełnych złota.

Zajęcie Kairu nastąpiło drogą ugody, skoro tylko wielki wódz zapewnił mieszkańcom zupełne bezpieczeństwo.

Trzeciego więc już dnia po świetnem zwycięstwie pod Piramidami wszedł Bonaparte do stolicy Egiptu i zajął pałac Murad-Beja.

Tutaj trzymając się tej samej polityki, jak w Aleksandryi, odwiedził znakomitych szejków, a nadzieją bliskiego wskrzeszenia dawnej świetności arabskiej zyskał ich sobie w zupełności tak, że wkrótce wydali odezwę wzywającą Egipcyan, by się poddali posłowi Bożemu, który szanuje Proka i przyszedł pomścić tyranię Mameluków.

Wkrótce dywan złożony z przedniejszych szejków i najznakomitszych mieszkańców Kairu, udzielił zdobywcy rad i wiadomości co do szczegółów zarządu wewnętrznego.

Postanowiwszy wejść w prawa Mameluków, zabrał Bonaparte ich własność, przyznając równocześnie na rzecz armii francuskiej pobór podatków, dawniej już nałożonych, lecz

wprowadzając porządek i sprawiedliwość w rozkładzie tych ciężarów, zyskał zaufanie biedniejszej ludności.

Sam zająwszy się zarządkiem kraju, wyprawił niezwłocznie jednych generałów, by dokonali opanowania Deltę, którą wpierw tylko przeszli, innych zaś na zajęcie Egiptu środkowego.

Nie zapomniał też uwielbiany wódz o wiernej sobie armii, dając jej teraz w zdrowym klimacie pożądany odpoczynek i wymarzony dostatek.

Wkrótce Arabowie, poznawszy charakter rządów młodego zdobywcy nie mogli pojąć, by zwykły śmiertelnik tak groźny wśród wojny tyle był łagodny w czasie pokoju. Nazywali go więc synem proroka i ulubieńcem wielkiego Ałłacha, i śpiewali mu w meczetach hymny pochwalne.

Aby złączyć się ściśle z podbitym ludem, brał naczelną wódz udział w jego życiu, i był obecnym na największej w Egipcie uroczystości Nilu.

Ponieważ rzeka ta jest dobrodziejką kraju, przeto jest też przedmiotem czci mieszkańców. W czasie wezbrania, wprowadzają jej wody do miasta wielkim kanałem, zamkniętym przez tunel, którą otwierają, gdy woda dosięgnie największego poziomu. Wraz z zerwaniem tamy rozpoczyna się wielkie święto, przypadające zwykle na 18-go sierpnia.

Bonaparte kazał całemu wojsku stanąć pod bronią i uszykował je na brzegach kanału, a gdy szejk wedle przyjętej formy ogłosił wysokość wody, która doszła w tym roku aż do 25-ciu stóp, radość wielką zapanowała wśród tłumu, i wraz z jego okrzykami zagrzmiała ustawiona tam artyleria francuska.

Gromady ludzi wszelkiego wieku zanurzały się w wezbranych wodach, przywiązując do tej kąpieli dobroczynne skutki.

(d. c. n.)

## ASTRACHAŃ.

Na wschodnim krańcu Europy przy ujściu Wołgi do morza Kaspijskiego, leży miasto Astrachań, ongi stolica jednego z mniejszych chanatów tatarskich, podbitego w połowie XVI wieku przez cara Iwana Groźnego.

Miasto to jest ogniskiem handlu rybą, których setki tysięcy pudów wysyłają się co roku po Wołdze na zachód, a oprócz tego jest głównem miejscem, gdzie się przygotowuje kawior rybi, tak obecnie rozpowszechniony w całej Europie.

Przystań astrachańska przedstawia nie tyle malowniczy, ile nader ożywny widok, mnóstwo tam ludzi różnych ras, ubiorów i narodowości, przeważnie jednak spotykają się Kal-mucey, Persi i Ormianie.

Samo miasto, choć porządnie zabudowane, pozostawia wiele do życzenia pod względem czystości i bruków. Posiada ono piękny kościół katolicki, którego historia jest dość ciekawą.

Jeszcze w r. 1720 przez przybyłych do Astrachania OO. Kapucynów, został postawiony kościółek drewniany. W roku 1762 przybył O. Romuald, zakonnik i jednocześnie lekarz. Ciężąc się wielkiem poważaniem wśród ludności miejscowej, potrafił zebrać ze składek dobrowolnych fundusz na zbudowanie kościoła murowanego, przedstawionego na naszej rycinie.

Od roku 1805 do 1820 przebywali przy kościele OO. Jezuitów, którzy zaopatryli kościół w wiele potrzebnych aparatów i ozdobili jego wnętrze.

Obecnie jest to kościół parafialny, którego parafianie są Polacy dość licznie tu osiadli i Ormianie. Proboszczem jest ks. Leon Kozłowski.



Marya Łopuszańska.

## OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

603

— Ot, dziwowisko nie więcej! — mruknął, kiwając głową — gdyby tak gdzieindziej a nie w klasztorze, myślałbym, że to czary. Kiedy zacznę rozpowiadać tam u nas, to mi nie uwierzą zrazu. I w ślad za tem myśli jego pobiegły ku ojczyntym progom.

Na drugi dzień po uroczystości odprawionem nabożeństwie, na którym obecni byli nasi pielgrzymi, przeor po długich ze starszą zakonną naradach, zawezwał do siebie braci przeznaczonych do dalekiej na północ pielgrzymki. W liczbie ich był brat Angelo.

Zakonnicy w postusznym milczeniu przyjęli wyrok nakazujący im opuścić klasztor i kraj rodziyny. Niejeden w duszy, żegnając się z piękną Italią może na wieki obejrzał się po całym tem otoczeniu klasztornym, z którym zrósł się już sercem i zabiegł myślą do owej Polonii dzikiej, gdzie, mówią, prawie rok cały śnieg leży, a kraj jedną puszcza wielką, gdzie zwierz dziki porywa ludzi w dzień biały, człowiek zaś chodzi tam zaszyty w skóry...

Tylko brat Angelo z taką otuchą jakąś z taką radosną wdzięcznością przyjął swoje przeznaczenie, że nawet przełamując pokorę, do jakiej go wdrożyło wychowanie zakonne, jął się rozpytywać przeora o ten kraj daleki, do którego go ciągnęło jego powołanie. Zakonnicy z pobożnym zdumieniem, przysłuchiwali się pełnym zapału słowom młodego apostoła. W końcu przeor wyczerpawszy szczupły zapas wiadomości, jaki posiadał o tym dalekim kraju, zakończył posłuchanie, robiąc znak krzyża nad głowami przyszyłych apostołów Polski.

— O bracie Angelo — przemówił ojciec Bonifacy po wyjściu z celi przeora — podziwiam waszą gorliwość w służbie Bożej. Podobno najmłodszy z braci będzie służył za przykład nam wszystkim... bo jeśli mam prawdę rzec, to, choć grzechem jest przywiązywać się tak do rzeczy znikomych, uczułem wielką boleść na wieść, że mamy opuścić nasz klasztor ukochany... Tem większe mam dla was uwielbienie, bracie Angelo.

— Oóż w tem jest nadzwyczajnego — przerwał wesoło brat Angelo — najwięcej mię popycha ciekawość ujżenia tych krajów nieznanych.

Od tej chwili brat Angelo nie odchodził już od boku Scibora, ucząc się od niego języka tego kraju, o którym w młodzieńczej swej wyobraźni marzył dnie i noc.

Zdarzyło się, że w czasie wyznaczonym przez przeora na odpoczynek pielgrzymów polskich, oraz na przygotowanie się do podróży braci zakonnych, jeden z nich zapadł na zdrowiu. Przeor myślał właśnie kogoby naznaczyć na jego miejsce, gdy do celi wsunął się ojciec Augustyn, prosząc by mu pozwolono zastąpić miejsce chorego zakonnika.

Przeor zdumiał się i nawet nie chciał przystać zrazu, mając na względzie jego wiek podeszły oraz znane spokojne usposobienie starca, co uważał za niestosowne z posłannictwem, którego się domagał; ale ojciec Augustyn począł gorąco prosić, a gdy nadto, okazało się, iż przysłuchując się rozmowom brata Angelo ze Sciborem i bratem Bernardo, zdobył dużo wiadomości o Polsce i był już niejako przygotowany do podróży, zważywszy zwłaszcza krótkość pozostającego im czasu, przychylił się w końcu do jego prośby i ojciec Augustynaliczony został w poczet udających się do Polski zakonników.

Nadszedł nareszcie dzień odjazdu. Okolica jakby na pożegnanie, wystąpiła w całym przepychu blasków słonecznych; góry opuszczały zwolna z ramion swój płaszcz tioletowy i po królewsku odziewały się w przezroczystą, lekką

mgłę złotawą, z pod której potężne ich kształty występowały jeszcze wspanialej i groźniej.

Przeor błogosławił każdego i żegnał temi słowy:

— Idźcie bracia moi, klasztor jak dobra matka, darzy was błogosławieństwem na drogę, do którego i ja przyłączam swoje. Niech Bóg strzeże każdego kroku waszego, niech chroni was od niebezpieczeństw i upadku, aż doprowadzi szczęśliwie do celu. Zanieście tam światło, gdzie są tylko ciemności, zanieście łagodność obyczajów, gdzie istnieje jeszcze dzikość i barbarzyństwo, zanieście naukę tam, gdzie umysły pogrążone są w grubej niewiadomości. Bądźcie pochodnią niebieską, rozświecającą mroki, w jakich ten biedny lud jeszcze pogrążony.

Temi słowy żegnał wędrowców ich przeor sędziwy, a pozostali bracia łączyli swoje życzenia i modlitwy za ich pomyślność.

Dwunastu zakonników stało już w pogotowiu do odjazdu, spoglądając po raz ostatni zapewne w życiu na ukochaną ojczyznę, uroczy Italię, której się wyrzec mieli.

Niejeden z trudnością powstrzymywał łzę pod powieką, na widok klasztoru, tego spokojnego ustronia, gdzie spędził połowę życia w ciszy i spokoju ducha.

...Ale pora już; przeor drżącą ręką zakreślił w powietrzu znak krzyża nad głowami pochylonemi, i mały orszak ruszył z miejsca, bo chociaż tu na górze panowała jeszcze świeżość górskiego powietrza, tam na dole południowe słońce sypało żarem z bezchmurnego nieba. Zakonnicy raz jeszcze z westchnieniem obejrżeli się poza siebie, i wkrótce dwunastu Benedyktynów było już na drodze do ziemi Polaków.

### X.

Bolesław, przed udaniem się na wojnę nakazał, by zgromadzono materiał do zamierzonej budowy klasztoru na Łysej górze, która miała się wnet rozpocząć, skoro tylko budowniczowie z Niemiec przybędą. Nie zdawało się to zbyt trudną rzeczą, bo kamień był na miejscu a drzewa chyba także zabraknąć nie mogło w puszczy. Nawet modrzewia, budulec najbardziej cenionego, było tam podostatkiem.

Wzięto się więc natychmiast do szybkiego wykonania królewskiego rozkazu. Lecz nie okazało się to tak łatwym, jak się z pozoru zdawało.

Wyprawiono kilkudziesięciu cieśłów oraz kamieniarzy, by ścinałi i obrabiali drzewo, oraz cięśli kamień na górze.

Lecz ludzie ci, gdy zagłębili się w puszczy zostali nagle napadnięci; dwóch z nich zabito, kilku raniono, a reszta rozbiegła się w różne strony; dopiero w kilka dni przybyli do Kiele, donosząc o swej porażce.

Strażnikiem grodu, kasztelanem (jak ich później zwano) w Kielcach był wówczas Dobrogost, z rodu Gryfów, człek mądry i przedsięwzięczy wielce.

Poznał on, że teraz już sprawa nie z duchami a z prawdziwymi ludźmi z ciała i kości; drugą więc partyę robotników wysłał pod osłoną zbrojnych. Lecz i ich spotkał los podobny poprzednim; choć szli ostrożnie, oglądając się wciąż poza siebie i po bokach, nagle w najdzikszej miejscowości puszczy, niby z pod ziemi, wyskoczyła gromada jakichś ludzi i pomimo oporu, rozproszyła ich jak tamtych. Tym razem dwóch pozostało na polu walki.

Teraz do urojonej obawy przybyła jeszcze rzeczywista; w puszczy nietylko było można spotkać duchy i widma, ale i życie postradać w walce z żywymi z krwi i kości, w maczugach uzbrojonymi napastnikami.

Ale Dobrogost nie był z ludzi dających się nastraszyć; był on ze szkoły Bolesława i znał tylko rozkaz królewski. Gdyby całe wojsko duchów, oraz żywych ludzi stanęło mu na przeszkodzie, poszedłby na nich, by spełnić wolę króla. Pomimo więc powszechnego oporu, zebrał nową partyę robotników i pod silniejszą jeszcze strażą wysłał ich w puszczy.

Tym razem wysłani mieli się na baczości, za każdym



bowiem krzakiem mógł czyhać zbój; nawet cisza panująca w odwiecznym borze ich trwożyła. Niekiedy też z zarośli wypadła strzała, nie wiedzieć czyją ręką puszczone, kroki jakieś ostrożne zaszeleściły w gęstwinie, to znów na wierzchołkach olbrzymich drzew rozlegał się łomot i trzask straszliwy i dąb odwieczny, jakby podcięty niewidzialną siekierą, padał pod stopy podróżnych, ale nadaremne były wszelkie poszukiwania; puszcza znów stała niema i groźna. Kiedy zaś nastąpiła pełna strachów noc w puszczy, zostali nie wiedzieć przez kogo wprowadzeni na bagna i trzęsawiska, gdzie omal wszyscy nie poginęli.

Powrócili więc, mówiąc, że daremnie kusić Pana Boga, bo niema człowieka, któryby mógł przebyć żyw tę przeklętą puszcze.

Dobrogost nie wiedział, co teraz począć, bo jak tu walczyć z nieprzyjacielem, który się wciąż kryje a mimo to nie ujdzie mu żadno poruszenie przeciwnika?

Kazał przywołać do siebie swego najwierniejszego sługę, nazwiskiem Mroczek, który był nadzwyczaj sprawny i pojętny i postanowił wysłać go na czele wyprawy.

— Mroczku — rzekł — to taka sprawa, że jak ty jej nie dasz rady, to na nie już nie liczę. Powiedz mi, czy chciałbyś dostać dobrą nagrodę?

— A któżby tego nie chciał? — odrzekł zapytany.

— A więc wybierz sobie trzydziestu czy czterdziestu dzielnych ludzi, dobrze uzbrojonych w topory i postaraj się dotrzeć do Łysej góry, bądź co bądź, choćby sam bies stawał ci na drodze, choćby upiory, wodnice i inne szatańskie wory, któremi, jak lud mówi, zapełniona jest ta puszcza, aby ci szkodzić, na nie nie zważaj. Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Dotrzesz do Łysej góry?

— Postaram się.

— Choćby ci stu szatanów zastąpiło drogę, pamiętaj! Bo co do ludzi, to sam wiesz...

— No, tego to już nie potrzeba mi mówić; wprost maczuga po łbie, jeśli się jaki nawinie...

Mroczek nie lubił dużo gadać, ale gdy obiecał, dotrzymał. Dobrogost znał go z tej strony, zatarł też ręce z zadowoleniem, pewny, że tym razem wyprawa się uda.

Mroczek wybrał sobie kilkudziesięciu ludzi, którzy poszli sami, na ochotnika, silnych i odważnych, uzbroił ich w łuki, topory i maczugi i udali się w puszcze pełni otuchy.

Kilka dni upłynęło bez żadnej wieści, Dobrogost cieszył się myślą, że oddział Mroczka dotarł już niewątpliwie do Łysej Góry.

Tymczasem w okolicy zaczęli się snuć dziady bardzo podejrzanej postaci, szczególnie krążyło ich wielu w dnie targowe, kiedy lud się najliczniej zbierał.

Wreszcie dnia jednego przed Dobrogostem stanął człowiek jakiś, obdarty, zbiedzony, blady, w którym po jakimś czasie dopiero poznał Mroczka.

— Cóż to się stało, dlaczegoś powrócił?

— A trzeba było spróbować, jak tam dobrze w puszczy — odrzekł posępnie sługa. Trzy dni błakałem się bez jadła, myślałem, że zamrę gdzie w drodze.

— Więc rozbito was?

— Ze szczętem, nie wiem nawet, co się z moimi ludźmi dzieje, bo zapędzono nas na trzęsawiska, gdzie kilku zdaje się, że utonęło. Tej puszczy sam bies strzeże, człowiek jej żyw nie przejdzie.

Dobrogost szarpnął brodę ze złości, co on powie królowi, jak się wytłumaczy z tego, że nie spełnił jeszcze polecenia?

— Do krośset biesów! — zawołał wielkim głosem, pięścią uderzając w stół. — Ja się nie dam odstraszyć tym zbójcom! Budulec musi być zwieziony, choćbym miał utracić wszystkich ludzi, choćby w tej puszczy na każdym drzewie gnieździło się dziesięciu szatanów. Zrobię wyprawę na tych zbójców i sam stanę na czele!

Natychmiast też zebrał wszystkich ludzi jakich miał pod ręką, wziął przewodników znających dobrze puszcze i sam wyprawił się wraz z nimi na odkrycie owych zbójców, postanowiwszy stoczyć z nimi ostateczną walkę. Lecz nadaremne były wszelkie poszukiwania; zbrodzono większą część boru, wszystko było cicho dokoła. Puszcza dochowała swej tajemnicy.

Wśród lasu stała wioska samotna, otoczona niezbyt rozległym polem uprawnym i pastwiskami. Wieczór rozciął już cienie nad lasem i polem, błękitne dymy słały się po łąkach, gdzie derkacz się odzywał.

Siola było okopane rowem i obwarowane wałem, gęsto nabitym ostrokołem; wąska tylko wjazdowa droga między opłotkami, tak zwana wągroda, wiodła wewnątrz wsi. Chaty były postawione w podkowę, w pośrodku zaś zostawiono obszernie miejsce puste, gdzie była studnia z żórawiem, zapelnione było w tej chwili cisnącą się z rykiem spragnioną trzodą bydła.

Drogą między opłotkami szedł w tej chwili dziad samotny, na pozór wydawał się on ślepy, koby jednak przyjrzał mu się uważniej, dostrzegłby, że widzi dobrze. Psy zaszelekały, ujrawszy go, lecz on nie zważał i kroczył dalej powoli.

Prawie cała ludność siola, starzy i młodzi byli zgromadzeni na placu u studni. Chłopcy poili konie, dziewczęta brały wodę. Niekiedy rozlegały się wesołe wybuchy śmiechu.

Dziad wkrótce znalazł się w pośrodku nich; wszyscy spojrzeli nań ciekawie, lecz nikt go nie znał.

Dzieci z krzykiem schroniły się do chat, matki poczęły je strofować, lecz gdy się bliżej przyjrzały dziadowi, nie dziwiły się już lekowi dzieci.

Człowiek ów miał włosy i brodę siwo-rudawe, długie i skoltunione, wyraz twarzy zarazem dziki i chytry; skóra owcza zarzucona na plecy, ramiona żyłaste i obnażone, czyniły go podobnym raczej do zbója, niż do spokojnie wędrującego dziada.

(d. n.)

PRENUMERATA W YNOSI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zhr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10

TREŚĆ: Wilhelmina, królowa Holandyi (z portretem). — Bez przewodnika. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. (z ryc.) — Sto lat temu nad Nilem (z ryc.) — Astrachań (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — Dodatek: Pożegnanie jaskółek, wiersz (z ryc.) — Osiołek Wojtusia. — Nieproszeni goście. — Dług wdzięczności przez Zofię Rudnicką. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.



# WIECZORY RODZINNE



## POŻEGNANIE JASKÓŁEK.

Wzrokiem was gonię jaskółki kochane,  
Słucham waszego miłego szczebiotu  
Z żalem serdecznym, że w strony nieznane,  
Tak wam już śpieszno do lotu.

Alboż wam kiedy źle tu było z nami,  
Czyli nie dosyć miałyście swobody,  
Czy mało muszek było nad wodami,  
Czyście doznały tu szkody?..:

Ale wy wiecie, o ptaszęta wieszczce,  
Że wkrótce słońko zaćmi swe promienie,  
Jesień nadejdzie, a tuż za nią jeszcze  
Zima roztoczy swe cienie.

Więc się spieszcycie, tam gdzie wieczna wiosna,  
Gdzie nie zaznacie okrutnego chłodu,  
Gdzie wciąż rozbrzmiewać może pieśń radosna,  
Gdzie obce uczucie głodu.

Toż skoro dola mi przypadła smutna,  
Bym cię żegnała, miła jaskółeczko,  
Proszę, gdy przejdzie ta zima okrutna,  
Wracaj na swoje gniazdeczko.

Ja cię tu będę z wiosenką czekała,  
Powrotu twego dzień za dniem liczyła,  
Bo pewną jestem o ptaszyno mała  
Że i ty będziesz tęskniła:

Za rodzinnego nieba błękitami,  
Za srebrnej Wisły tą falą przejrzystą,  
Za naszym domkiem, wonnemi łąkami,  
Za swoją ziemią ojczystą.

M. D.



## OSIOŁEK WOJTUSIA.

Był raz mały i dobry chłopczyzna, zawsze pilny i posłuszny i bardzo od wszystkich kochany.

Rodzice jego, straciwszy cały majątek, martwili się tem bardzo, więc i Wojtuś widząc smutek rodziców, zapłakał nieraz serdecznie. Wojtuś był przytem bardzo delikatnego zdrowia. Często więc bardzo leżał w łóżeczku, tłumiąc łzy, gwałtem cisnące mu się do oczu, aby tylko strwożonej mamy nie martwić.

Chociaż rodzice odejmowali sobie nieraz od ust, aby wążtemu dziecku dogodzić, trafiało się przecież, że chory Wojtuś zapragnął jakiejś ulubionej potrawy lub napoju, a mama dać mu tylko mogła suchy kawałek chleba i szklanę mleka.

Nieszczęśliwy więc był ten mały blady Wojtuś, w lecie bosi najczęściej, a w zimie nie zawsze w dość ciepłej sukience.

To też niepodobna opisać niezmiernej radości chłopca, gdy dnia jednego niespodzianie od wuja dostał dużego, żywego osiołka.

Wojtuś nie mając dotąd żadnej własności, długo uwierzyć nie mógł swemu szczęściu. Gdy zaś przekonał się, że to prawda, prawdziwa prawda, jak zwykł mówić, ucałował najpierw wujowi ręce, potem rzucił się mamie na szyję i pędem wybiegł z pokoju.

Przed domem stał już osiołek, jakby czekał na swego młodziutkiego pana.

— Hi... ha! Hi... ha! — ryknął wesoło, gdy Wojtuś upojony szczęściem na szyję mu się rzucił, a potem obwąchał jasną główkę chłopca i bardzo łaskawie przyjął garstkę trawy, podanej mu na dłoni.

— Osiołku, osiołku! — powtarzał Wojtuś co chwila — osiołku mój kochany, głaskał go, karmił, i prowadził do wody, od rana do wieczora zajęty swym towarzyszem.

Osiołek był młody, lubił świeżą trawę i wodę a Wojtusia polubił tak bardzo, jak tylko osiołek kochać potrafi.

A więc, na głos chłopca rżał hi... ha! tak donośnie, że piejące koguty milkły, a kot domowy na dach wskakiwał. Jeden tylko Burek w swej budzie słucał tego ryku spokojnie — ale nie dziw — bo był już bardzo sędziwy i poważny, dużo w życiu widział i słyszał i nie już sobie nie robił z ryku osiołka.

Tydzień cały przeszedł w tej radości, która jakby na zdrowie posłużyła Wojtusiu, taki był ożywiony i czerstwy. Już sobie obmyślał, gdzie postawi osiołka na zimę; jak ojca o furkę trawy poprosi, jak własny chleb od obiadu przyjacielowi zanościć będzie.

Rodzice tymczasem jakiś znowu mieli smutek. Dnia jednego Wojtuś zajęty szyciem derki z dwóch starych serwet, usłyszał z drugiego pokoju głośną lecz smutną rozmowę.

Oboje rodzice upraszali o cierpliwość jednego z dawnych wierzycieli, któremu już tylko dziesięć rubli zostali winni. Ale tych dziesięciu rubli nie było właśnie, a wierzyciel nalegał gwałtownie.

— Więc cóż zrobić — rzekł ojciec — skoro nie mam.

Byłeś pan cierpliwy dotąd, proszę jeszcze miesiąc poczekać, omłócę groch tymczasem.

— Wiem, że u państwa więcej długów jak pieniędzy i nie ustąpię, póki moich nie odbiorę — powiedział wierzyciel głośno — ostro prawie.

Po chwili do pokoju, gdzie siedział Wojtuś, weszła mama, z twarzą zalaną łzami. Nie widząc nawet tyna, osunęła się na krzesło i zakrywszy oczy, załkała.

Wojtuś strwożony, tłumiąc płacz dławiący go także stał długo w osłupieniu i rozpacz; co począć? co zrobić? aby mamę uspokoić. Stał, myślał, aż wreszcie odetchnął głęboko i przypadł do kołan matki.

— Mamo, mam, mamusiu moja!.. odjął dłonie jej od oczu i drżąc ze wzruszenia mówił prędko.

— Moja złota mam, mnie ten osiołek wcale nie potrzebny, jemu będzie u nas bieda, w tym chlewku będzie mu zimno; niech go tatuś sprzeda jakiemu drugiemu chłopczykowi i niech zapłaci te dziesięć rubli. Moja droga, moja najdroż... gwałtowne łkanie przerwało mu mowę...

Ostry wierzyciel, mający również niedużego synka, wziął chętnie ładnego osiołka i pokwitował rodziców z reszty długu. Załzawiony Wojtuś ostatni raz jeszcze przyniósł ulubieńcowi trawy i wody i uściskał kochane zwierzątko w milczeniu. Długi czas jeszcze dławiał go żal serdeczny... lecz nigdy nie pożałował postępków swego, bo w sercu i pamięci tkwił mu wzruszony głos ojca: „Niech cię Bóg błogosławi mój synu!”

*Zofia Ziemborska.*



## NIEPROSZENI GOŚCIE.

### Muchy.

W piękny majowy poranek muchy po raz pierwszy pojawiły się w pokoju i odtąd już tam były stałymi mieszkankami. A trzeba przyznać, że zachowywały się bardzo niewłaściwie. Od pierwszego dnia były jak u siebie: w każdy kąt zajrzały, wszystkiego skosztowały. Za ledwie podano do stołu, muchy nie czekają czy państwo zasiedli, nie zważają kto starszy, lecz zawsze były pierwsze. Jadały wprawdzie bardzo mało, wyłącznie same płyny, które wypijały trąbką, ale za to były bardzo łakome.

Chętnie pijały mleko, ale wołały śmietankę i kawę, herbatę kosztowały tylko wtedy, gdy była dobrze ocukrzona, za to za miodem i konfiturami wprost przepadały. Cukru, zwłaszcza drobnego nie ominęły nigdy, rozpuszczały go własną śliną i wysysały.

Nie przeszkadzało im to jednak wszystkiemu próbować, a choć miały znakomite oczy nie ufały im i wszystkiego językiem dotykały. Muchy są tak zręczne, niby najzręczniejsi akrobaci. Umieją chodzić po suficie i gładkiem szkłe, czego zazdroszczą im inne owady. Jest to ich tajemnicą i nikomu jej nie wyjawiają, my jednak wiemy, że mają na każdej łapce po dwa pazurki, a pod każdym mieści się maleńka poduszczyca, więc gdy mucha przycisnie łapkę, poduszczycki te trzymają ją mocno na gładkiej powierzchni, a że pod sześcioma łapkami mają



aż 12 poduszeczek; nie dziwnego, że mogą śmiało spacerować po suficie, szybach i lustrach.

Muchy spiąją zwykle w kącikach i framugach, a gdy pierwsze ciepłe słoneczne promienie obudzą je ze snu, wtedy wyciągają się, rozprostowują nóżki, skrzydełka, muskają łapkami po głowie, niby to myjąc się i wylatują na ranne wycieczki, jedne do sypialnego pokoju, gdzie zaglądną dzieciom w uszy, nos, usta: zdaje im się, że chodzą po pagórkach. W końcu przecież szukają pożywienia swą trąbką, budzą dzieci i odpędzone uciekają dalej.

Drugie wpadły do szpizarki na gospodynię, tam natrafiły na niejeden smaczny kąsek. Inne poleciały do kuchni.

Lecz gdy zaczęto przygotowywać pierwsze śniadanie, muchy zleciały się ze wszystkich stron do jadalnego pokoju. I nim państwo zasiedli do stołu, spróbowały już śmietanki, zjadły cukier z sucharków i drobną mączką z cukierniczki się uraczyły.

Nie można przecież powiedzieć, żeby życie much upływało bez trosk, rzadko która ginie własną śmiercią. Najczęściej giną w młodym wieku: to wpadnie która niepostrzeżenie w sieć pajaka i płacze się i męczy, aż ją pajak uśmierci; to znów pijąc mleko lub kawę wpada i tonie; niech tylko wyleci na podwórko, porwie ją zaraz jaskółka, no i ludzie zawsze znajdują, że jest ich za dużo; a gospodyni zniecierpliwiona postanowiła je zupełnie wytępić.

Otworzyła okno w stołowym pokoju i zaczęła ręcznikiem wymachiwać. Niejedną muchę zabiła, uratowały się tylko te, które na suficie posiadały. Nie dość na tem, kupiła szklaną muchołapkę, nalała serwatki i postawiła na oknie. A muchy ciekawe spieszą czempredzaj przekonąć się, co to jest? I niezadługo na smacznej serwatce pływają setki ofiar swej ciekawości. Chociaż dużo much ginie, pozornie nie znać tego i liczba ich nie zmniejsza się wcale.

I skąd bierze się ich takie mnóstwo? Tępią i wypędzają je a zdaje się, że ich coraz więcej w mieszkaniu.

Tak się też dzieje, bo co jedne wyginą to drugie przybywają. A jak się to dzieje, zaraz wytłomaczę. Muchy od czasu do czasu wylatywały z mieszkania i składały jajka, czy to w stajni, czy w oborze, czy na śmietniku, każda złożyła 80 jaj.

Po 24 godzinach z małych jajeczek wyległy się białe liszki; żywiły się tem, co znalazły blisko siebie.

Przez 14 dni rosły, grubiały i były tak duże, prawie jak paznokieć małego palca.

Poczem straciły apetyt i nie ruszały się z miejsca, skóra ich pociemniała, ciało przyjęło kształt beczułki.

W takim stanie leżały jeszcze 14 dni, po których skóra z jednej strony pękła i z każdej beczułki wylatywała mucha.

Byłyby może pozostały w stajni, ale tu jaskółka strasznie je tępiła, więc postanowiły odlecieć, a widząc otwarte okna, powlatywały do pokoju.

A gospodyni nie domyśla się nawet, że to nowi nieproszeni goście przybyli do niej gromadnie. Niedługo i owe młode muchy złożyły po 80 jaj i nie minął miesiąc gdy nowy zastęp zjawił się ich w pokoju. A że ka-

żda mucha w ciągu lata 4 razy po 80 jaj składa, można sobie wyobrazić jak wiele ich przybywa. Pod koniec lata gospodyni nie tępi ich już, tylko czeka, aż je zimna jesienne uśmierca, bo to najlepszy na nie środek, a te, które pozostaną przy życiu pozasypiają w ciemnych kątach.

Marya Weryho.

## DŁUG Wdzięczności

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

Spojrzała na Janka z pod oka, porozumiała się z Tatarzem w swoim języku, weszła do drugiej jakiejś nory, zakrytej wiszącą brudną, obszarpaną płachtą i wyniosła stamtąd jakieś równie brudne szmaty. Po chwili przystąpiła do Janka i nic nie mówiąc, poczęła zdejmować z niego suknie, w których był dotąd ubrany, a natomiast włożyła nań koszulę grubą, czarną od brudu, poszarpaną i zaledwie sięgającą do kolan, dała mu w rękę kawałek sznurka i pokazała by się tem opasał!.. Biedny Janek wiedział już, że opór nic nie pomoże, zaciął zęby i nie sarknął nawet. Tatar włożył mu długi bat w rękę i wskazał, by szedł za nim. Wyprowadził go w step, dość daleko od całej osady, tam się pasły konie i owce. Janek miał trzody pilnować. Pan jego krzyknął ezy świsnął; gdyż trudno nawet byłoby określić głos, który wydał; i w tejże chwili zjawił się drugi Tatar na koniu. Rozmawiali krótko, wskazując na Janka i żywo coś gestykulując. Janek zrozumiał, że pan jego kazał go pilnować, a w razie gdyby chciał uciekać, pokazano mu, że spotkałaby go strzała z łuku, który ów konny Tatar miał przewieszony przez plecy wraz z kołczanem pełnym strzał ostrych. Łuk—to broń, z którą Tatarzy nie rozstawali się nigdy.

Od tej chwili los Janka się ustalił: został pastuchem trzód tatarskich! On, dziedzic mnogich włości, jedyny wnuk starosty grodzkiego — ostatni z rodu..

Wolał jednak jeszcze stokroć być dzień i noc w stepie z bydłem, niżeli w towarzystwie Tatarów w jurcie.

Pan jego niedługo gościł na stepach, wkrótce pojechał znowu ze swoją hordą, może po nowe tupy. Stara Tatarka raz na dzień przynosiła jedzenie starszemu pastuchowi i Jankowi, zawsze wstrętne, ale przynajmniej już nie surowe mięso. Za napój miał mleko kobyłe, które znajdował nawet dość smaczne.

I tak poczęły mu płynąć dni jednostajne, można powiedzieć między niebem i ziemią: step, nie objęty okiem otaczał go dokoła; nad nim, wznosiło się, myślą nawet niedoścignione, sklepienie niebios.. Nocą leżąc bezsen- nie na wilgotnej trawie, wpatrywał się Janek długimi godzinami w gwiazdy migocące i iskrzące nad ziemią, i myślał z rozrzewnieniem, że te same gwiazdy świecą i nad domem jego rodzinnym.. że może właśnie w tej chwili matka jego ukochana, w żalu i tęsknocie za nim,



patrzy na nie, jak i on... i marzył, że odbicie jej wzroku padnie z gwiazd tych na jego głowę... Marzył, tęsknił, nieraz, gdy nikt nie widział, zalewał się gorącymi łzami; nie rozpaczał wszakże i nie tracił nadziei, że Bóg przecież kiedyś wyprowadzi go z tej niewoli. Modlił się coraz goręcej.

W tej jednostajności stracił rachubę czasu; nigdy potem nawet nie umiał powiedzieć, jak długo pasł trzody tatarskie.

Jednego dnia, Tatar zjawił się na pastwisku, wraz z kilkunastu sztukami bydła, które widocznie z jakiejś świeżej grabieży przypędził; pogadał coś ze starszym pastuchem, bydło zostawił, a Jankowi kazał iść za sobą.

Jakże się wzruszył Janek, gdy przed chatą tatarską ujrzał dwóch ludzi nie Tatarów — ludzi, w których poznał włóścian podolskich! Rzucił się do nich z okrzykiem radości — błysnęła mu bowiem myśl, że to może wieść jakaś z domu, od matki: może to wysłańcy, którzy przybyli z okupem za niego...

(d. c. n.)

### SZARADA.

*Pierwsze z trzecim*, gdy bywa żeńskiego rodzaju,  
Do sprawdzania ciężkości służy w każdym kraju;  
Gdy męskiego, przeważnie noszą je kobiety,  
Jako strój i osłonę wysokiej zalety.  
*Drugie z pierwszym* to pokarm bardzo pospolicity,  
Nie wykwiłtny, lecz za to w pożywność obfity.  
*Wszystko* wraz, obce świata zamieszkuje strony,  
Stanowi rodzaj zwierząt do psiego zbliżony.

### ARYTMOGRYF.

p. Kubusia M.

- 1) 20, 18, 9, 20, 8, 7. Miasto nad Bystrzycą.
- 2) 1, 20, 14, 9, 8, 1, 24, 5. Imię żeńskie.
- 3) 7, 4, 13, 4, 17, 16, 4, 19. Miasto gub. w Rosyi.
- 4) 5, 24, 1, 7, 22. Miasto stołeczne w Europie.
- 5) 16, 18, 2, 18, 7, 8, 5. Królestwo n. morzem Gzarnem.
- 6) 24, 4, 16, 18, 7. Miasto nad Wisłą.
- 7) 4, 16, 23, 1, 21. Ptak drapieżny.
- 8) 13, 1, 7, 1, 12, 22, 5. Miasto we Włoszech.
- 9) 8, 17, 7, 5, 12, 22. Imię męskie.
- 10) 12, 3, 8, 7, 22. Cesarstwo w Azyi.
- 11) 23, 5, 2, 4, 6, 12. Miasto w gub. Lubelskiej.

Zastąpić liczby literami, aby pierwsze litery utworzonych wyrazów złożyły nazwisko nieżyjącego poety polskiego.

### LAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Ułożyła Żywila dla kochanych rodziców.

. . . . . Zastąpić kropki literami aby  
. . . . . rząd pierwszy oraz pierwsze litery  
. . . . . złożyły nazwisko znakomitego botani-  
. . . . . ka z pierwszej połowy XVIII w., (rząd 2)  
. . . . . Miasto w Persyi. 3) Rzeka w gub. Grodz.  
. . . . . 4) Dopływ Bugu. 5) Rzeka w Hiszpanii. 6) Nie-  
. . . . . gdyś wolne miasto n. Dunajem. 7) Liczba mn. czas  
. . . . . teraźn. słowa. 8) Spółgłoska

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 37.

Szarady: Na — po — le — on.

#### Łamigłówni kropkowanej:

Tam przez rozpięte brzóz, wierzb gałązki,  
Pod szeleszczących listków namiotem,  
Srebrzy się strumień przejrzysty, wąski,  
Kłócąc się z wiatry dźwięcznym klekotem.

Wyżej tuż nad nim, grusze i tarny  
Rosną zwieszono z podnóża góry,  
A wyżej jeszcze las gęsty, czarny  
Piętrzem po piętrze pnie się pod chmury.

#### Łamigłówni w kwadracie:

M a r a t o n  
T o b i a s z  
B e t l e e m  
C h e ł m n o  
B e r n a r d  
D a b r o w a  
B o l i w i a

### Skrzynka do listów.

Z prawdziwą przyjemnością wysłaliśmy **Wróżbiarce Szczęścia** żądane książki; kosztowały z przesyłką 5 r. 30 kop. Zawsze gotowi jesteśmy ułatwić naszym prenumeratorom wszelkiego rodzaju sprawunki i polecenia. Zapowiedzianego listu oczekujemy, przesyłając wieloletniej naszej czytelniczce serdeczne pozdrowienia.

Pseudonym twój, kochana **Żywilo**, oznaczający dawne bóstwo słowiańskie, jest bardzo poetyczny i brzmi ładnie, sądzymy więc, że jest zupełnie odpowiednim. Wkrótce o tej bogini będzie wzmianka w powieści p. Łopuszańskiej „W Obronie Bogów” dla czego lato obecne tak chłodne objaśnić dokładnie jest rzeczą nader trudną, meteorologia stanowczych danych na to jeszcze nie posiada. Wiadomo, że na temperaturę wpływają i zjawiska astronomiczne, jak plamy na słońcu i pora topnienia lodów w okolicach podbiegunowych oraz na większych łańcuchach gór i warunki miejscowe, jak ilość lasów i t. p. Zresztą sierpień tegoroczny i drugi tydzień września były znowu niezwykle gorące.

**Puszczyk z Pilawy** zagubiony Nr. dostać może. **Łamigłówni** i zadania jego ostrzymaliśmy jak również od **Czarnego Porucznika** i **Aligatora z nad Nilu**.

Winszujemy **Polnej Różyczce**, **Stokrotce**, **Maryni S.**, **Smokowi**, **Kaziowi R** i **Cyklisście**, że tak trafnie odgadli szarady i łamigłówni.

Miłe liściki **Powiślanki**, **Srebrnej topoli** i **Wierzby** oddaliśmy **Jaskółce**, która już przyjechała, ale z powodu niezdrowia dopiero, od przyszłego numeru zacznie odpowiadać swym korespondentom Tymczasem poleciła prosić ich o jaknajczęstsze i najdłuższe listy.

Przypominamy o odnowieniu prenumeraty na **Wieczory Rodzinne**, które pod temi samymi co dotąd warunkami wychodzić będą w kwartale czwartym.

Numer pojedynczy kop. 10. — Zmiana adresu kop. 15.